

Piotr Hołyński / Zuba /  
ul. Estreichera 7/14  
41-902. Bytom

II/142  
L  
© ARCHIWUM WSCHODNIE

Bytom, marzec 1989.

Wspomnienia z podróży i pobytu  
za Uralem t.j. czyścici.

- [W czasie okupacji Podhale aż roiło się od różnych Oddziałów Partyzanckich, bazowały tam oddziały AK, BCh, i mały oddział Partyzantki Sowieckiej, zajmujący się więcej pracą wywiadowczą, jak konkretną walką z hitlerowcami. W roku 1944+tytuł w Gorcach kwaterował też Akowski 1-szy Pułk Strzelców Podhalańskich, w którego szeregach przebywałem po obławie i częściowej likwidacji Oddziału por. Wilka. W grudniu tego roku przed spodziewaną ofensywą Niemcy za wszelką cenę chcieli oczyścić swoje zaplecze i zlikwidować komórkę wywiadu Sowieckiego, którą kierował pułkownik Zołotar, lecz ten ciągle im się wymykał, zaś główne uderzenia spadały na nasz batalion. Ja w tym czasie pełniłem funkcję <sup>delegata</sup> drużyny w 2-giej kompanii, a w mojej drużynie był jeden Białorus, którego wszyscy nazywaliśmy Mikołajem.
- [W czasie okresu <sup>świątecznego</sup>, pewnego dnia wartę przed naszą kwaterą pełnił właśnie ten Mikołaj i n posterunku trochę sobie popik. Oczywiście z posterunku musiałem go zdjąć, przy tym nie obeszko się bez kilka słów "o p e e r", jak to zwykle przy takich wydarzeniach się zdarza. Wszystko jednak poszło szybko w zapomnienie, gdyż w partyzantce nie ma czasu na różne fochy i niezadowolenia. Jednak kilka słów Mikołaja, wypowiedzianych w czasie wyżej wspomnianego zajścia, dało nam dużo do myślenia. Rodziły się podejrzenia, czy ten Mikołaj byłby jeniec wojenny Niemieckiej Armii nie zechce w oczach swoich nadchodzących dowódców zrehabilitować się naszym kosztem.
- [Okazało się, żeśmy się nie mylili, tylko szkoda, że nie wyciągnęliśmy z tego odpowiednich konsekwencji. Pewnej nocy nasz Mikołaj zabrał nam zdobyczny karabin maszynowy i uciekł do Sowieckiego Oddziału. Staraliśmy się odzyskać skradzioną broń, gdyż nasze stosunki z dowódcą Zołotarem były oparte na życzliwej neutralności i pewnej współpracy, lecz starania pozostały bez rezultatów, a Mikołaj przepadł bez wieści. Myśmy go specjalnie nie poszukiwali, a on unikał kontaktów z naszymi oddziałami, zapominając, że my ocaliliśmy jego życie.
- [W pierwszej dekadzie stycznia 1945 r. Niemcy urządzili na nas obławę, lecz po całonocnej walce musieli się wycofać, zabierając swoich poległych, zaś my mając jednego zabitego i dwóch rannych również opuściliśmy pole walki, by za dwa dni powrócić do Szczawy, t.j. zimowego miejsca zakwaterowania. W Szczawie zastało nas wkroczenie Czerwonej Armii, czyli tak zwane wyzwolenie. Przy wkraczającej armii nie było żadnych jednostek Wojska Polskiego, ani też żadnego delegata, który pragnąłby nas jakoś wykorzystać w walce, toteż siłą rzeczy musieliśmy się rozformować. Zgodnie z rozkazami Głównej Komendy Armii Krajowej z Sowiecami nigdy nie walczyliśmy, jednak ich wyzwolenie nie witaliśmy bardzo entuzjastycznie. W odczuciach większości akowców byli oni również okupantami, może trochę mniej krwawymi, lecz bardziej perfidnie zakłamanymi. Wielkość Rosji i świętość komunizmu nie przemawiały tak do nas jak do naszych sojuszników, być może każdy z nas sugerował się rokiem 1920+stym, lecz były to zupełnie inne okoliczności i zupełnie inny układ sił, tak na arenie polityki międzynarodowej, jak i w naszym kraju, zdziśiatkowanym przez potężnych okupantów.
- [Po rozformowaniu się naszego batalionu i złożeniu broni każdy zaczynał budować swoje życie prywatne, zaczynając od dosłownego zera. Wiele kolegów pochodzących z obszarów G.G. i zachodnich obszarów Polski powróciło do rodzinnych domów, wiele pdażyło za frontem, ażeby później osiedlić się na Ziemiach Odzyskanych, zaś pewna część podjęła różne doraźne zajęcia oczekując na zapowiadany pobór do Wojska Polskiego, walczącego w sojuszu z Czerwoną Armią.



Ja należałem do tej ostatniej grupy, zaczepiłem się u krewnego w Nowym Sączu, tam zapisałem się do organizującego się Liceum i zacząłem zakładać sklepik, ażeby mieć z czego się utrzymać, gdyż do wojska nikt mnie nie powoływał, a rodzina moja, o ile jeszcze żyła, pozostawała za Sanem. Po powrocie z Gorców nie miałem nic własnego, nawet ubrania, dlatego chodziłem w ~~Weteldresie~~ w ~~Weteldresie~~, który otrzymaliśmy razem z bronią od naszych zachodnich sojuszników, zaś kurtkę podarował mi sądecki krewniak. Okazało się, że to wystarczyło mi na pierwsze dni wolności w Kraju i na długą podróż za Ural, gdyż według planów zwycięzców tam był czyszciec dla wszystkich "Nie błogo nadiożnych".

W pierwszych dniach lutego 1945 r., gdy jak zwykle krzątałem się koło urządzanego sklepiku, weszło do niego dwóch oficerów NKWD w towarzystwie naszego byłego partyzanta Mikołaja, który im powiedział, to jest właśnie "Zuba", a oni pod groźbą pistoletów zaprowadzili mnie do Polskiej Komendy Wojskowej w Nowym Sączu. "Zuba" to były mój pseudonim z AK. W Komendzie ku dużej radości spotkałem swego byłego kolegę z lat szkolnych Edwarda P. który pełnił jakąś funkcję w Polskim Wojsku Ludowym, po miłym przywitaniu się i jego oświadczeniu, że mnie zna z okresu szkolnego, humor mój znacznie się poprawił i wyraziłem chęć wstąpienia do wojska, lecz NKWD-ści pokiwali przecząco głową i powiedzieli "nie nada" mnie zaś uspokajając, że tylko będzie małe przesłuchanie i w tym celu zaprowadzili mnie do więzienia. (Dziwnie wyglądała ta nasza wolność w życiu cywilnym i wojskowym dozowana przez NKWD). W więzieniu spotkałem wielu ludzi, gdyż cela była duża. Byli tam rzemieślnicy, kupcy, notariusz i adwokat oraz kilku faksdojczów, a nawet jeden był więzień z Oświęcimia. Podczas pobytu w więzieniu oczywiście nikt mnie nie przesłuchiwał, z wyjątkiem zapytania, gdzie mieszkalem po powrocie z Pańskiego Wojska. Okazało się, że ta wiadomość była im potrzebna do przeprowadzenia rewizji i ograbienia mego krewniaka ze wszystkich kosztowności, gdyż rzekomo w lesie myśmy otrzymywali dolary i złoto. W więzieniu byłem około dwóch tygodni i miałem jedno spotkanie z kuzynką, która właśnie opowiedziała mi o rewizji i rabunku w ich domu. Ponieważ poszerzony tor kolejowy był tylko do Sanoka, wyzwoliciele musieli tam dostarczyć nas samochodami. Transport do Sanoka pod konwojem NKWD, odbył się bez zakłóceń, żadnych szans na ucieczkę nie było. W Sanoku na pilnie strzeżonym dworcu towarowym, który spełniał rolę punktu zbiorczego, wszystkich dowożonych dokładnie zrewidowano, ostrzyżono z włosów na głowie, pod pachami i w kroczu, później wysmarowano cuchnącym płynem i podzielono na wagony.

Do jednego wagonu przydzielano chyba po sześćdziesiąt osób, dokładnie nie pamiętam, w każdym razie było to stosunkowo nie dużo, gdyż w wagonie można było usiąść, a nawet położyć się na pryczy. W wagonie było korytko do odprowadzania odchodów przez wyciętą dziurę, trzeba przyznać, że też był piecyk, w którym można by palić, jak by było czym, lecz planiści tego nie przewidzieli. Przed zaplombowaniem wagonów rutyna NKWD objawiła się w potrzebie wyznaczenia komendanta wagonu. Potrzebny był więzień ze znajomością języka rosyjskiego, a ponieważ ja znałem język rosyjski, gdyż w Szkole Podoficerskiej Piechoty dla Młodzieńców uczono języków naszych pokojowo nastawionych sąsiadów, zgłosiłem się na tego komendanta.

W zimny lutowy wieczór ruszyliśmy w drogę, którą nasi praojcowie odbywali w kibitkach z etapami, my zaś luksusowo koleją szerokotorową bez etapów, jedynym podobieństwem był NKWD-ista w budce hamulcowej, a nie kozak na koniu. I nie nosił on nahajki, tylko nagan i pepeszę, zaś zamiast wzywać imienia Boga i cara, wzywał imienia wszechmocnego Stalina. Zaśdniczą rzeczą była fakt wysyłania zesłaneńców chyba pierwszy raz z terenu Galicji.



Ja należałem do tej ostatniej grupy, zaczepiłem się u krewnego w Nowym Sączu, tam zapisałem się do organizującego się Liceum i zacząłem zakładać sklepik, ażeby mieć z czego się utrzymać, gdyż do wojska nikt mnie nie powoływał, a rodzina moja, o ile jeszcze żyła, pozostawała za Sanem. Po powrocie z Gorców nie miałem nic własnego, nawet ubrania, dlatego chodziłem w ~~Weteldresie~~ w ~~Weteldresie~~, który otrzymaliśmy razem z bronią od naszych zachodnich sojuszników, zaś kurtkę podarował mi sądecki krewniak. Okazało się, że to wystarczyło mi na pierwsze dni wolności w Kraju i na długą podróż za Ural, gdyż według planów zwycięzców tam był czyściec dla wszystkich "Nie błogo nadiożnych".

[W pierwszych dniach lutego 1945 r. gdy jak zwykle krzątałem się koło urządzanego sklepiku, weszło do niego dwóch oficerów NKWD. W towarzystwie naszego byłego partyzanta Mikołaja, który im powiedział, to jest właśnie "Zuba", a oni pod groźbą pistoletów zaprowadzili mnie do Polskiej Komendy Wojskowej w Nowym Sączu. ("Zuba" to były mój pseudonim z AK?). W Komendzie ku dużej radości spotkałem swego byłego kolegę z lat szkolnych Edwarda P. który pełnił jakąś funkcję w Polskim Wojsku Ludowym, po miłym przywitaniu się i jego oświadczeniu, że mnie zna z okresu szkolnego, humor mój znacznie się poprawił i wyraziłem chęć wstąpienia do wojska, lecz NKWD-ści pokiwali przecząco głową i powiedzieli "nie nada" mnie zaś uspokajając, że tylko będzie małe przesłuchanie i w tym celu zaprowadzili mnie do więzienia. (Dziwnie wyglądała ta nasza wolność w życiu cywilnym i wojskowym dozowana przez NKWD). W więzieniu spotkałem wielu ludzi, gdyż cela była duża. Byli tam rzemieślnicy, kupcy, notariusz i adwokat oraz kilku faksdojczów, a nawet jeden był więzień z Oświęcimia. Podczas pobytu w więzieniu oczywiście nikt mnie nie przesłuchiwał, z wyjątkiem zapytania, gdzie mieszkalem po powrocie z Pańskiego Wojska. Okazało się, że ta wiadomość była im potrzebna do przeprowadzenia rewizji i ograbienia mego krewniaka ze wszystkich kosztowności, gdyż rzekomo w lesie myśmy otrzymywali dolary i złoto. W więzieniu byłem około dwóch tygodni i miałem jedno spotkanie z kuzynką, która właśnie opowiedziała mi o rewizji i rabunku w ich domu. Ponieważ poszerzony tor kolejowy był tylko do Sanoka, wyzwoliciele musieli tam dostarczyć nas samochodami. Transport do Sanoka pod konwojem NKWD, odbył się bez zakłóceń, żadnych szans na ucieczkę nie było. W Sanoku na pilnie strzeżonym dworcu towarowym, który spełniał rolę punktu zbiorczego, wszystkich dowożonych dokładnie zrewidowano, ostrzyżono z włosów na głowie, pod pachami i w kroczu, później wysmarowano cuchnącym płynem i podzielono na wagony.

[Do jednego wagonu przydzielano chyba po sześćdziesiąt osób, dokładnie nie pamiętam, w każdym razie było to stosunkowo nie dużo, gdyż w wagonie można było usiąść, a nawet położyć się na pryczy. W wagonie było korytko do odprowadzania odchodów przez wyciętą dziurę, trzeba przyznać, że też był piecyk, w którym można by palić, jak by było czym, lecz planiści tego nie przewidzieli. Przed zaplombowaniem wagonów rutyna NKWD objawiła się w potrzebie wyznaczenia komendanta wagonu. Potrzebny był więzień ze znajomością języka rosyjskiego, a ponieważ ja znałem język rosyjski, gdyż w Szkole Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich uczono języków naszych pokojowo nastawionych sąsiadów, zgłosiłem się na tego komendanta.

[W zimny lutowy wieczór ruszyliśmy w drogę, którą nasi praojcowie odbywali w kibitkach z etapami, my zaś luksusowo koleją szerokotorową bez etapów, jedynym podobieństwem był NKWD-ista w budce hamulcowej, a nie kozak na koniu. I nie nosił on nahajki, tylko nagan i pepeszę, zaś zamiast wzywać imienia Boga i cara, wzywał imienia wszechmocnego Stalina. Zaśdniczą rzeczą była fakt wysyłania zesłaneć chybą pierwszy raz z terenu Galicji.



[W wagonie przy dużym mrozie i głodzie nie zawieraliśmy żadnych znajomości. Trzeba pamiętać że zima tego roku była dość ostra, druga dekada lutego, marzec, a nawet kwiecień na dalekiej Syberji niczym nie przypomina Polskiego Przedwiośnia. Wróćmy jednak do współtowarzyszy z wagonu: Poznałem w nim kilku akowców, lecz byli ubrani po cywilnemu, a nie jak ja w umundurowanie żołnierzy angielskich. Spośród nich zapamiętałem niejakiego porucznika Plucińskiego oraz kilku górali z różnych plców Podhala. Jechał krawiec z Dziedzic, bp rzekomo uszył mundur dla gestapowca - za Uralem szył mundury dla NKWD. Był szwec z Nowego Sącza, bo dostawał przydział skóry od Niemców, był również piekarz za wypiek pieczywa dla okupantów. Poznałem też dwóch pracowników z Chemicznych Zakładów w Oświęcimiu, gdyż rzekomo nadzorowali pracę jeńców Sowieckich oraz dość dużą ilość folksdojców z Dziedzic i okolicy. Noce w lutym bywają ~~z~~ bardzo zimne, a my niemając żadnego opału, zaczęliśmy łamać deski przyznaczone na prycze i palić nimi w żeleźniaku, ażeby trochę się ogrzać.

[Po dobrej podróży, gdzieś za Lwowem, przyszedł do mnie por. Pluciński i zaproponował udział w ucieczce, wyjaśniając, że jednemu góralowi udało się schować nóż, tym nożem w nocy obetnie się drzwi wokół śruby, po czym uda się je otworzyć, no i prysnąć. Na zaproponowany plan wyraziłem zgodę i na nocny dyżur wyznaczyłem jakiegoś starego folksdojczaka, sam zaś położyłem się udając śpiącego.

[Pociągi towarowe jżdzą powoli, a ich monotonny stukot działa usypiająco, to też cały wagon spał snem sprawiedliwego z wyjątkiem wtajemniczonych w zamierzoną ucieczkę. Nad ranem za Sarnami, już po minięciu naszej przedwojennej granicy, góral i Pluciński powiedzieli mi, że wszystko gotowe, ja jednak nie zdecydowałem się, a oni nie czekając otworzyli drzwi i wyskoczyli z wagonu. Pociąg jechał dalej, ja udając że śpię, analizowałem swoją decyzję, przesłanki były niekorzystne, szczególnie brak cywilnego ubrania i ostrzyżenie na głacę oraz znajomość toku postępowania NKWD. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ja niedaleko ucieknę bez zwracania uwagi otoczenia, zaś powtórne dostanie się w ręce NKWD, równało się wyrokowi śmierci, jednym słowem stchorzyłem. Pociąg z otwartymi drzwiami ujechał jeszcze może z 10. minut, aż dyżurny obudzony przez przejmujące zimno zaczął krzyczeć, że są otwarte drzwi. Udając zaspanego i zastraszonego kazałem zapalić szczapę, ażeby sprawdzić, czy wszyscy są w wagonie. Sprawdzanie zajęło żadnych kilka minut, a pociąg wciąż jechał. Po sprawdzeniu spisu i stwierdzeniu, że dwóch ludzi brakuje, zaczęli uderzać połamem po wagonie i wołać konwojenta. "Czasowej - a czto dwa - ożołowika ubieżeli". Konwojent strasznie się przestraszył i zaczął strzelać, a zanim cała straż transportu. Strzelanina spowodowała zatrzymanie się transportu. Było to chyba kilkanaście kilometrów od miejsca ucieki. Do naszego wagonu wpadł z pistoletem w ręce oficer NKWD, z czekistami i ze straszliwymi, wulgarnymi wyzwiskami kazał położyć się na podłozę z rękami wyciągniętymi w bok, po tym kopiąc najbliższej położonych zaczął prowadzić przesłuchanie na temat drzwi i dyżuru. Stwierdziwszy, że dyżur był wyznaczony, a reszta spała, kazał czekistom zabrać dyżurnego, po jego wyprowadzeniu rozleż się strzał i za chwilę weszli czekisci z wiadomością, że został zastrzelony, gdyż zasnął podczas pełnienia dyżuru. W dalszej kolejności oficer NKWD wskazał na mnie, dodając że teraz kolej na komendanta wagonu. Po tych słowach wyprowadzili mnie z wagonu, przyłożyli do głowy jakieś zimne żelazo i rozleż się strzał. Nawet w myślach (nie mogę odtworzyć tej chwili, zastrzelony, a żyję i idę, nie mnie nie boli) coś to wszystko nie bardzo prawdziwe. Z oszołomienia wyprowadził mnie fakt zaprowadzenia do wagonu konwojentów, tam zostałem poddany torturom przesłuchania. Już nie pamiętam, jakie padały pytania, nie odpowiadałem, było mi bardzo zimno i było mi wszystko jedno, czy będę żył, czy też nie.